7. kwietnia 1866. Nr. 14. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 554¾ przy ulicy Szerokiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

O tworzeniu się ziemi.

Odczyt miany na korzyść uczniów Akademji technicznej we Lwowie podany według własnoręcznego opracowania przez

prof. Płachetkę.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszym układem z rzędu wytworów napływowych, ożywionych istotami organicznemi, był:

Okres przechodowy, stanowiący poniekąd przejście od skał krysztalicznych, z roztopienia powoli stężałych, tudzież głazów warstwowych z wzajemnego współdziałania plutonizmu i morza pierwotnego osadzonych, do pokładów różnotworych, które prawie jedynie sile wody prądującej, regularne wydzielenie się swoje zawdzięczają. Formacja ta obejmuje zlepieńce, piaskowce, wapienie i łupki ilaste. Dolne ławice tworzy szara-waka, to jest konglomerat ze złamów krzemowych i skał pierwotnych, wapnem lub iłem połączonych, — lub też piaskowiec szarowakowy, różniący się od głazu poprzedniego cieńszem ziarnem i większą zbitością; warstwy górne zastąpione są wapieniami o rozmaitem zabarwieniu, częstokroć bardzo obfite w organizmy skamieniałe, a mianowicie zwierzęce; tak zwane Trzydziałkowe czyli Trilobity, Ortoceratity, Terebratule, korale, szczególniej zorganizowane ryby, i niektóre inne obecnie nie istniejące rody; równie też roślinne, zachowane nam dotąd jako odciski liści palmowych i paprociowych.

Pokłady tej formacji rozwinęły się przeważnie w Ardennach, Czechach, Szląsku, Skandynawji, Rosji, Anglji, gdzie miejscami do grubości 7000 stóp sięgają.

Okres węgla kamiennego, drugi z kolei, zawiera w składzie warstw swoich piaskowce, zbite wapienie, węgiel skalny i iły łupkowe. Krzemowy, zwykle brunatno-czerwony piaskowiec o grubem lub cienkiem ziarnie otwiera następstwo od spodu, występuje niekiedy w potężności do 3000 stóp, jak n. p. w Turyngji, Saksonji, Czechach, Morawji, Anglji, Rosji i przechodzi na zewnątrz w pokłady węgla, przewarstwiane właściwym sobie piaskowcem węglowym i łupkami iłowymi. Ławy węgla posiadają zwykle grubość od 2 — 8 stóp, wzrastają atoli, mianowicie w kociołkowych zagłębieniach do 20 a nawet 40 stóp, i powtarzają się w głębi niekiedy tak licznie, iż np. w Anzin koło Valenciennes warstw takich przeszło 50, w Duttweiler 32, Newcastle 25, a około Colebrooke-Dale 135 na grubość niemal 500' jest nad sobą ułożonych. Formacja właściwego węgla skalnego jest na ogromnych obszarach rozprzestrzenioną; upłaz Santa Fee de Bogota w Ameryce posiada węgiel na wysokości nadmorskiej 8000', podczas gdy kopalnie angielskie w Withehawen już przeszło 300' niżej powierzchni morza są zapuszczone. Kopalnie belgijskie dostarczają rocznie niemal 60 miljonów cetnarów, pruskie około 40 mil., Newcaste wydaje do 200 mil. a Anglja cała do 500 mil. W podobnej obfitości posiadają Chiny, jak niemniej północna Ameryka warstwy tegoż palnego minerału.

Materjał roślinny, któremu zawdzięczyć należy powstanie węgla skalnego, przysporzyły olbrzymie pnie drzew, mianowicie skrytopłciowych obecnie albo wcale nie istniejących, albo tylko w karłowatych, częścią nawet zielnych kształtach na powierzchni ziemi rozdzielonych. Odznaczają się tu szczególnie wyginione rodzaje drzew łuskowych jako Sigillarie i Lepidodendra, Stigmarie, pnie skrzypowe (Equiseta), olbrzymie trzciny (Calamity) około 300 rodzajów do 60' smukłych paproci, a nawet, chociaż oszczędniej niektóre szyszkowce.

Zwęglenie tak bujnej roślinności nastąpiło według wszelkiego prawdopodobieństwa z powodu powolnego, lecz nieustannego pruchnienia i gnicia, którego początek w torfowiskach, wyższe udoskonalenie na węglu brunatnym, a najzupełniejszy szczyt rozwoju w antracycie dostrzegać możemy. Nieprzenikniona gąszcz lasów paprociowych i palmowych, rozbujana na wilgotnych i rzeźnych wyspach rzeczonego okresu, uległa bowiem tak potęgom rozsrożonych bałwanów, jak budzącej się jeszcze od czasu do czasu sile plutonizmu; namuły, zgniatając wtedy całą roślinność obficie zarosłego lądu, pokryły ją grubemi warstwami piasku, żwiru i iłów; czynność gnicia rozbudzała się wnet pod tak naniesionem przewarstwieniem, i podczas gdy w głębi odbywały się czynności chemizmu zwęglania nader powolnego, ponieważ bez przystępu powietrza, porosły na gruzach poprzedników swoich nowe olbrzymy roślinne by z czasem ulegnąć mogły tym samym rozruchom, tym samym zistoczeniom. Ciepło, wywiązywane pod wpływem takich działań chemicznych, przyczyniało się głównie do przyspieszenia rozpoczętych przeobrażeń, a że i teraz jeszcze, jakkolwiek podsycane innymi także powodami podobnie się rozbudza, o tem świadczą pożary, wzniecone same przez się w pokładach węgla skalnego, jak np. około Planitz w Saksonji płonące już od 200 lat, około Duttweiler od 150 lat, tak w Szląsku, w St. Etienne około Lyonu i t. d.

Na warstwach węgla kamiennego osiadły częstokroć szare, czerwone lub czarniawe wapienie węglowe, a na tychże, lub wich następstwie, stary czerwony piaskowiec *(Old red sandstone)*, szczególnie w Anglji, gdzie do wyjątkowej grubości 10.000 stóp narósł.

Faunę tego perjodu reprezentują głównie ryby, raki, mięczaki, mianowicie korale i madrepory.

Nowe zburzenia wywołane potęgami plutonizmu, wydźwiganie się młodszych granitów i skał blendy rogowej, jako głazów cięższych, ponieważ ze znaczniejszych głębin ziemi wyrzuconych, zniszczyły życie dotychczasowe; poziome układy mas napływowych zostały podniesione, nachylone, powierzchnia planety naszego przybrała na wielkie obszary zmienne postacie, — morza ustąpiły w świeżo utworzone zagłębienia, nowe wyspy i rozległe lądy napiętrzyły się wśród odmętów morskich, i nastąpił teraz

Okres Cechsteinu złożony z marglów tudzież piaskowców uwarstwionych wapieni, zawiłych żył kruszcowych; których to stolnie i szachty górnicze, cechy, nadały tej grupie powyższe nazwanie. Warstwy tu należące wzbiły się do grubości 300 — 400, w Turyngji, Rosji, w Harcu, a nieznane dotąd nowe plemiona ryb i mięczaków, i pierwszy rodzaj gadu jaszczurkowego Protosaurus pojawiły się na ziemi.

Ale i ta formacja ustąpiła wnet rozruchom wypływających z wnętrza roztlonego jądra Porfirów, Serpentynów (wężowców), Syenitów i Zieleńców, a tak rozpoczął wiek swój

Okres triasowy obejmujący oddzielne utwory Kaipru t. j. drobno-ziarnistego białego, szarego lub żółtawego piaskowca, przewarstwianego marglem i iłem, wapna muszlowego krystalicznie ziarnistego i pstrego piaskowca najczęściej barwy

Na okaz.

czerwonej. Formacja ta, złożona przeważnie w Szwajcarji, Niemczech i częściowo w Anglji, odznacza się Fauną swoją, która prócz innych znowu mięczaków przechowuje szczątki większych jaszczurek, jako to: Nothosaurus, Simosaurus, Labyrinthodon, tudzież ryby i ślady tropów ptasich lub nieznanych płazów, zabytki roślinne są tu nader rzadkie.

Okres jurasowy łączy w sobie wapienie, częścią zbite, częścią zaś grochowcowe czyli raczej ikrowcowe, przytem Dolomity, iły, margle i piaskowce. Rozróżniamy w tym periodzie właściwą formację jurasową i liasową, pierwsza z białych lub brunatnych, u wierzchu dolomitowych wapieni i głazów litograficznych, druga zaś z ciemnych pokładów wapna, marglów, iłów i piaskowców złożona. Góry alpejskie okazują się jako główne ogniwo miejscowe rzeczonych skał, a skamieniałości zapełniające ich łono są nacechowane pięknością kształtów i wielkością rozmiarów. Jest to właściwy okres życia olbrzymich jaszczurek, z których znakomitsze: Ichthiosaurus do 40 stóp długości, Plesiosaurus i Megalosaurus, potwory szczególniejszych kształtów, Pterodactylus, jaszczurka skrzydlata, — obok wielkich ryb i raków, ogromnych płaskich ślimaczo zwiniętych amonitów ostryg, koralów i pierwszych zwierząt ssących z familji workowatych, tudzież roślin z oddziału palm i wodorostów na szczególną wzmiankę zasługują. Po tym układzie następuje

Okres kredowy pokładami właściwej kredy, marglów zbitych piaskowców i iłów na rozległe przestrzenie całej prawie ziemi zastąpiony. Występują tu wszakże jako pokłady ważniejsze Formacja kredy, zawierająca pospolicie bryły krzemienia, a wydzielona obficie w Anglji, Francji, Belgji, Danji, około Baltyku, Hiszpanji, Polsce; formacja piaskowca kwadrowego o cienkiem kwarcowem ziarnie, regularnie złożonych i prostokątnie popękanych warstwach, do których zakresu policzyć musimy także piaskowiec karpacki, główny materjał w budowie gieognostycznej naszego pasma gór galicyjskich.

Z wielkiej liczby zwierząt skamieniałych należy tu wspomnieć o nowych rodzajach jaszczurek, Iguanodon, Mososaurus, Megalosaurus, o różnokształtnych rybach, mięczakach i jeżach morskich, równie o szczątkach roślin wodnych i liściach a nawet dobrze przechowanych gałązkach drzew i krzewów.

Okres trzeciorzędowy obejmuje wapienie tak z morskich jak słodkich wód złożone, piaskowce z węglem brunatnym i konglomeraty. Rozwinięty głównie w okolicy Paryża, w Auvergnji, Czechach, około Wiednia, w Galicji, Hiszpanji, małej Azji, odznacza się bujną florą, która podała materjał do miejscowo wprawdzie ograniczonych, lecz zawsze znakomitych pokładów węgla brunatnego, na którym jeszcze z wielką dokładnością utkanie roślinne i słoje rozróżnić, i do gromad szyszkowców, palm i różnych drzew dwulistniowych odnieść zdołamy. Fauna wykazuje nam przedwieczne zwierzęta ssące, jako Palaeotherium, olbrzymie ryby należące do oddziału nowoczesnych ludojadów, ptaki, żółwie, krokodyle, rozliczne konchy mięczaków i t. p.

Okres przedpotopowy (Diluwium) obejmuje nagromadzenia kamieni stocznych i ogółem naspy osiadłe z wód prądujących, a mianowicie skały błędne (eratyczne), któreto jako olbrzymie odłamy głazów pierwotnych z północnej Europy na wielkie obszary krajów więcej ku południowi położonych, bez wątpienia za współdziałaniem lodów uprowadzane i rozrzucone, nawet do znacznych wysokości w górach alpejskich podniesione zostały. Okres ten możemy nazwać wiekiem zwierząt olbrzymich nacechowany jest bowiem potworami z rodu żyjąt ssących, które rozmiarami cielsk swoich przewyższają wszystko, cokolwiek w świecie zwierzęcym stały ląd zamieszkiwało. Należą tu wsławione mamuty czyli słonie pierworodne, których pojedyńcze kły do 8' długości i przeszło 200 funtów ciężkości nabyły; potworne nosorożce, ociężałe Dinotherium, tapiry, hieny, wilki, jelenie, konie i wiele innych zwierząt, które z powierzchni ziemi zupełnie wygubione zostały.

Tak więc doskonalił się nietylko ogół organizmów od najniższych do ciągle wyższych, dokładniejszych jestestw, ale i powierzchnia planety naszego przybierała z każdym okresem stosunki dla ciągle potęgującego się życia odpowiedniejsze. A gdy to wielkie dzieło było ukończone, i wszystko na nim odpowiadało wzniosłym celom Stworzyciela, wtedy nastąpił

Okres historyczny w którym pojawił się człowiek na ziemi a którego niezwalczona siła ducha dozwoliła mu z objawów otaczających go w przyrodzie z każdą chwilą, wnosić na dzieje wieków, jakie długo przed wzbudzeniem rodu jego nad kulą ziemską — jak w poprzedniem wykazano — przeszumiały.

(D. n.)

KOLENDA*)

na korzyść braci tułaczy kształcących się we Francji

przez Karola Balińskiego.

. . . . Sędziowie posiadali w kole
I położyli krzyż pański na stole
I rzekli: Ktoś ty? — Jam sługa narodu —
Coś czynił z dawna? pytali ze złością:
Jam kraj mój kochał z dawna bo od młodu;
Więc rzekli razem: „tyś winien miłością.“
Skargi Jerem.

O! narodzie mój serdeczny!
Czem ty stoisz? nieśmiertelny!
Mieszkańcze grobów półwieczny,
Niby martwy, a naczelny!
Ani tobie blask słoneczny,
Ani tobie dzień weselny!
Wszystkie twoje chwile — łzawe!
Wszystkie twoje drgnięcia — krwawe! —
A za każdem łzy wylaniem
Toś ty bielszy i jaśniejszy;
A za każdem krwi wybraniem
Toś ty tęższy i kraśniejszy!
Męczenniku czarnoksięski!
Niewolniku ty, zwycięski!
Zćwiertowany na kawały,
Jednak żywy, zdrowy, cały —
Zkąd ta siła, którą kryjesz
Pod całunów zgniłych pleśnią?...
Ach! ty manną z nieba żyjesz!
Jedną myślą, myślą-pieśnią!
Z pieśni cała twoja zbroja
I siła i niepodzielność;
Z pieśni cała przyszłość twoja,
Zwycięztwo i nieśmiertelność! —

A tę myśl — cud, źródło bytu,
Tę pochodnię, tę kotwicę,
Któż ją zerwał z nieba szczytu
I ojczyźnie dał w skarbnicę?
Kto te czary pełne płodu
W serca ludu żywcem wpisał,
I półmartwą pieśń narodu,
Nowem tętnem rozkołysał?
Kto tę pieśń ostrzem bułatów
Wzniósł nad ludów błędną drogą?
Kto ją tak wbił w serca katów,
Że odtąd usnąć nie mogą!
Jeno patrzą z tchem struchlałym,
Rychłoż słowo stanie ciałem?
Któż mógł sprawić takie cudy?
O zaprawdę! wielkoludy!
Ludzie wielcy sercem, cnotą,
Wielcy siłną — świętą wiarą
Wielcy bolem i prostotą
I miłością i ofiarą,
Ubożuchni a bogacze,
A nazwisko ich.. tułacze!

*) Podajemy cały ten poemat, którego początek był już raz drukowany w „Dzienniku literackim“.

Na pochmurnem polskiem niebie
Nie ma słońca ni księżyca,
Jeno tęcza z gwiazd przyświeca
Niby lampa na pogrzebie;
A te gwiazdy, co tak żarzą
Tajemniczo — rzewnie — smutnie,
Co się tylko niebu skarżą...
To naszych proroków lutnie!
Jedyne światło, co świeci
Nad kołyską polskich dzieci,
I w sieroce serca leje
Taką wiarę i nadzieję,
I pogardę do ziemskości,
I tęsknotę do boskości;
Że już później w całym świecie,
W życiu całem, każdą dobą,
Nic nie widzi polskie dziecię
Jeno te gwiazdy przed sobą
I do nich rwie się do góry
Przez męczarnie i tortury,
Przez podziemne min ciemnice,
Przez pale i szubienice,
Aby tylko wyżej — wyżej,
Aby tylko nieba bliżej. —
Te to gwiazdy nas sposobią
Na wolności ofiarników
I niebiańską zorzą zdobią
Blade czoła męczenników. —

Zlicz narodzie skarby swoje:
O! tyś bogacz nad bogacze!
Zlicz te lutnie, gwiazd twych roje,
Prawie wszystkie — patrz!... tułacze!...

Naszej matki świętna szata
Krwią przetkana, a nie złotem;
Wszystkie święte boje świata
Polskich lanc jaśnieją grotem...
Zlicz narodzie te mogiły
Co świat cały przepełniły;
Zbierz imiona tych żołnierzy,
Co do boju pierwsi biegli,
Zlicz, gdy możesz, tych rycerzy,
Co za wolność świata legli!
Któż na czele zawsze, wszędzie,
Kto wiódł te szyki wojacze,
Kto stał zawsze w pierwszym rzędzie,
Kto, narodzie! kto?... tułacze! (C. d. n.)

W KRAJU.

OBRAZEK.

Przez Paulinę z L. Wilkońską.

Nie ma jak nasz kraj!
To nam skrzypku graj!
Miła swoja chatka,
Jak rodzona matka,
Nasz kraj, to nasz raj!
To nam graj i znaj!

Piosnki wiejskie.

I.

— Czesławie!

— Wujaszku!

zawołało równocześnie dwóch mężczyzn na bulwarze paryzkim, i z serdeczną radością podali sobie ręce. Jeden z nich był młody i przystojny, w ubraniu pełnem elegancji, jakie przepisywała moda na miesiąc luty r. 1859 w Paryżu; drugi z mocno już pobielałym wąsem, miał na sobie granatowy paltot futrem podbity i czapkę bobrową.

— Jakaż to niespodzianka, powitać wuja kochanego w Paryżu! — zaczął pierwszy pan Czesław Ratymirski. — Kiedyż wujaszek przybył?

— Wczoraj wieczorem — odrzekł pan pułkownik Włostowicz.

— A czemuż to wujaszek wprost do nas nie zajechał?

— Och, och! — pokręcił wujaszek głową — znasz mnie, że nie lubię ambarasu robić, ni komu, ni sobie.

— I wujaszek nawet nic nam o sobie wiedzieć nie dał! — wymówił Czesław z wyrzutem.

— Bo sam właśnie wybrałem się do was, ale chciałem wprzódy troszkę świeżem pokrzepić się powietrzem. Wiesz, że przechadzka jest mi nałogiem.

— Służę wujaszkowi, bo i ja przejdę się chętnie — i Czesław ujął wuja pod rękę.

— A cóż żona twoja? — zapytał pułkownik.

— Zdrowa, i ucieszy się niezmiernie z przybycia wujaszka.

— A wasz i n f a n t e k?

— Zdrów, roskoszny, tęgi chłopak! — odrzekł młody ojciec z wyrazem szczerej, rodzicielskiej radości.

— Cieszę się na zobaczenie Elci.

— Ale cóż wujaszka tak nagle i niespodzianie do Paryża sprowadziło?

— Nie tak to nagle, mój chłopcze, bom nad tem przemyśliwał już od miesiąca, a nie chciało się wyruszyć z chaty. Ot, jadę do Tuluzy, gdzie zostaje brat żony mojej, jak ci wiadomo... biedny, tęskny, cierpiący, przyjaciel ukochany i najzacniejszy z ludzi, a nie widziałem go już od lat tylu!... To więc jadę go uściskać, pocieszyć, wesprzeć, i nie wrócę dopóki go zdrowszym nie ujrzę, albo też... — i sędziwy wojak przygniótł łzę w oku.

Szli chwilę w milczeniu — bo myśl pułkownika uniosła go dalej, i Czesław zasępił się nieco.

— Cóż tam w kraju słychać? — przerwał Ratymirski pierwszy.

— Ha! jedno zawsze! — i pułkownik machnął ręką.

— Długo wujaszek w Paryżu zabawi?

— Trzy dni.

— To krótko bardzo!

— Chciałem tylko widzieć się z wami, nagadać się.

— Jakaż Elcia będzie szczęśliwa! Wypyta się wujaszka o wszystko.

— Nie wiele pociesznego usłyszy!... Ale kiedyż zamyślacie do kraju powrócić?

— Ha!... wujaszku drogi, nie wiem!... Radbym powrócił...

— Więc to Elcia tak z p a r y z i a ł a! — zawołał Włostowicz.

— Och nie! Uchowaj Boże! Ale młoda, żywa, wesoła, lubi zabawę, świat... i nie śmiem jej mówić o powrocie, dopóki ona pierwsza tego nie uczyni.

— Ah! — rzucił się pułkownik, i coś tam przez zęby poszepnął: bajbardzo!

— Wujaszku! Elcia była panną bogatą, piękną, mogła najpierwszą w kraju zrobić partję, i mnie, posiedzicielowi niewielkiej wioski, z wyboru serca, niezależna od niczyjej woli, rękę swoją oddała!

— Toćże i ty całe oddałeś jej serce.

— Szalałem za nią! A dziś jestem nad wszelki wyraz szczęśliwym!

— To chwała Bogu! Ale pocóż tem szczęściem koniecznie żyć za granicą?

— Przed ślubem jeszcze Elcia dużo zawsze o Paryżu i Włoszech mówiła: pragnęła podróży... to też następnie wyjechaliśmy do Rzymu, zwiedziliśmy Włochy... i bawimy w Paryżu. Elcia jest panią majątku swojego i woli swojej: uszczęśliwiła mnie, i jakżeżbym się dzisiaj jej życzeniom miał opierać!

*

— A gdybyś w duszy tym jej zachciankom przyganiać musiał?

— Wujaszku! Miłość jej najwyższem mojem jest szczęściem!

— A miałażby ta jej miłość od jakiegoś być zależną kaprysu?

— Broń Boże! Elcia jest aniołem!... Ale pocóż jej nie dać tego, w czem ma upodobanie? Zabawiwszy tu jeszcze czas pewien, wrócimy przecież. Ona sama tego zapragnie.

— Wiesz, mój kochany, o coraz większym upadku majątków w kraju... i zaprzedawaniu ojcowizny obcym!

— Wuju drogi, nam wystarczają dochody, i też nie nadszarpniemy w niczem całości! — zawołał Czesław, nieprzyjemnie wyrazami pułkownika draśnięty.

— Dobrze to i szczęśliwie — odrzekł Włostowicz — ale te wasze parkiety są śliskie i niebezpieczne, potknąć się łatwo, poślizgnąć, upaść i kark skręcić. Nieobliczenie się, nieoględność, zamiłowanie zbytków, małpowanie drugich, szał, ot już niejednego do ostatecznej popchnęły zguby... A szał taki jest występkiem... jest zdradą — dodał ciszej, ale z przyciskiem.

Czesław zadrgnął.

— I wierzaj mi, kochany: że to, co rozrzucasz w cudzym kraju niebacznie, zabierasz z ołtarza ojczyzny swojej! — ciągnął dalej stary wojak z podnieconym na licu rumieńcem — bo majątek, który posiadasz, winieneś uważać nie jako swoją wyłączną tylko własność, którą po obcych szlakach samowolnie i nieoględnie roztrwonić możesz... a zatem marnotrawstwo jest zdradą kraju!

— Wujaszku, gorżkie to i zbyt ostre słowa! — zawołał Czesław i przystanął.

— Ej, toćże to ja tego wszystkiego nie stosuję wręcz do ciebie, ale mówię w ogólnikach. A nie byłbym wyrzekł słówka nagany, gdybyście byli sobie wyjechali na miesięcy kilka, potem wrócili i skrzętnie wzięli się do pracy około gleby ojczystej. Lecz skończyły się dwa lata, a o powrocie waszym nie masz i słychu! — i zwolna znowu szli dalej.

— Ależ wujaszku, żyjąc tutaj, w różne wchodzimy sfery: zawiązujemy stosunki, sympatje...

— Te nie na takiej, wierzaj mi, zjednywają się drodze!... Powiem ci nadto, że i przykład podobny jest jakoby zarazą dla drugich. A zarazę taką jakżeż nazwać po imieniu?

— Wujaszku! drogi wuju! — zawołał Ratymirski — jestem temi wymówkami do żywego tknięty.

— A ja powinienem był zrzucić co mi na duszy ciężyło, i lżej mi teraz... Posłuchaj dalej jeszcze, mój Czesiu! Żyjąc w zbytku i weselu pod obcem swobodnem niebem, wśród szczęśliwych i goniących za nowemi ciągle rozrywkami, ani wiesz, ani wiedzieć możesz, ani uczuć jesteś zdolnym wspólnej nam wszystkim niedoli. W takiem życiu zapomina się o wszystkiem: syty głodnego nie wyrozumie. A ztąd wyradza się występna obojętność... i wynarodowienie.

— Och! — jęknął Czesław do głębi duszy wzruszony.

— A bardzo to naturalny przebieg rzeczy — mówił dalej Włostowicz — bo na cokolwiek patrzysz z oddali, wszystko w powabniejszem a nieprawdziwem ujrzysz świetle. Zawalona chata, z której rodzina żebracza ujrzała się wygnaną, na obrazku będzie wyglądała malowniczo. Skarga, najboleśniejsza nawet skarga, zamienia się w poezją! I łatwo jest powiedzieć: to przesadzone!... A powiedzenie takie w obec łzawej rzeczywistości jest występkiem... Och, dziecko moje! — i starzec westchnął głęboko — prawe serce braterskie winno podzielać z sobą łzę i nadzieję, a gdzie jest rozdział skaczących i smutnych, tam nie masz braterstwa! Gdzie nie masz braterstwa, nie masz miłości! Gdzie nie masz miłości, jest nicestwo!...

— Smutno mi, bardzo mi smutno, mój wuju! — Ratymirski skłonił czoło: z przed oczów jego znikły piękne bulwary, znikł Paryż — a ujrzał stronę północną i smętną — pełną poezji serca — cierpienia — miłości — poświęceń — i zabolała go dusza, a na ciemnej źrenicy połysnął brylant wody najczystszej.

Poczęli ciszej rozmawiać. Ale niekiedy wyraz głośniejszy zwracał, zapewne obcem brzmieniem swojem, uwagę przechodniów — a może nietylko brzmieniem lecz i przyciskiem, z jakim był wyrzeczony, zrozumialszym pewnie od wyrazu.

II.

Na jednej z pierwszych ulic, w pięknym hotelu, w budoarze eleganckim, obfitującym w najwykwintniejsze przedmioty mody i zbytku — krzątała się młoda, śliczna kobieta, pani Eliza Ratymirska.

Była to wysoka, kształtnej kibici, nader regularnych rysów twarzy, bielutka, świeżutka blondynka, ubrana w biały kaszmir, podbity materją *cérîse*, przepasana grubym złotym sznurem, przy którym dwa wielkie ciężyły kutasy; na głowę zarzuciła fanszonik z cudnej koronki fabryk brukselskich, nadający jej rysom łagodnym wyraz Rafaelowskiej *Madonny*. Ręce jej, zgrabniutkie i wypieszczone zdobiły bransoletki z czarnego aksamitu, spięte brylantowemi sprzączkami — i jedna złota w kształcie węża, pięknej roboty, zawierająca włosy ukochanych osób.

Eliza co tylko pożegnała kilka wizyt wielko-światowych, i znużona — znudzona niby — przeszła się parę razy po budoarze. Spojrzała na książki — na nuty — na ryciny — na kwiaty — na nieprzeliczone w koło cacka... i ziewnęła. Potem nagle pociągnęła za taśmę barwistą: w przedpokoju brzęknął dzwonek i kamerdyner — oczywiście Francuz — pospieszył na rozkaz.

— Nie masz mnie w domu dla nikogo — poleciła pani.

Baptiste oddalił się, a Eliza z ożywionym wyrazem twarzy do sekretarki zasiadła: zamierzała list napisać do pani Zaruckiej, swojej niegdyś nauczycielki a wielce ukochanej: bo pani Zarucka sumiennie zastąpiła jej matkę, którą Eliza — osierocona po ojcu w dwunastym roku życia — mając lat czternaście, straciła.

Przenosząc się myślą w daleką, rodzimą stronę, młoda kobieta coraz ożywiała się więcej: piękne oczy błyszczały a wdzięczne lica świeżym odcieniem róży zakwitły. Rączka tymczasem po welinie posuwała się szybko — i niezadługo parę stronnic drobniuchnem zapełniła pismem. Otóż i one wyrazy, które wprost z myśli i serca na papier niby jednym pociągiem pióra rzuciła — swobodnie, igraszkowo, ale i nie bez ciepła:

»Moja droga, najdroższa Dobrodziejko!

»Jesteśmy zdrowi i dobrej myśli. A mały mój Tadzio rośnie w oczach — i śliczny już z niego kawaler! Śmieje się, gługy, wymawia mama i papa — targa ojca za wąsy — mamkę za włosy — a mnie rozdziera koronki, podkrzykując radośnie. Widzisz więc, Dobrodziejko moja, że edukacja jego w całej postępuje pełni.

»Bawimy się ciągle — aż do... męki! aż do nudów!... Ale, *horribly and blasphemously!* Jakżeż mogłam coś tak... tak... tak wieśniaczego, parafiańskiego napisać! Bo wspomnieć o nudach wśród balów paryzkich, oper, koncertów, świetnych widowisk i zebrań wykwintnych, to już chyba trzeba być wiochną bez gustu — bez poczucia estetycznego — bez znajomości świata!... Gąską polską!... Albo też brzydką, brzydką — *une laidron à faire peur* — zaniedbywaną, odrzucaną — a zazdroszczącą drugim wdzięków... i wziętości! — A więc nie przyznawać się, że te bale i hołdy stają się nieraz pańszczyzną — że umęczą... i znudzą! Nie przyznawać się do takiej trywialności!... Bo i jakież to są bale! Jakie stroje! Jaka wystawa! Muzyka! Światło! Woń! Taniec! Czary!... — Och, och! to przytłacza, że aż opadają ramiona — a tu potrzeba ożywionego spojrzenia i uśmiechu na ustach.

»Odetchnę tylko, gdy rzucę się na sofkę w sypialni naszej, i przytulę Tadzinka do serca — gdy usta moje do jego wonnych przycisnę usteczek — ach, wtedy prawdziwego zakosztuję szczęścia! — A jeszcze też, gdy i Czesław jest z nami! — Jakżeżbym rada wieczór który z nimi jedynie spędziła! — ale to nie uchodzi: zaprosin tuzinami — i wizyty! wizyty! wizyty!... Pańszczyzna!... Och, i znowuż taki wyraz brutalny! Źleś mnie wychowała, Dobrodziejko moja.

›Ależ ja sama nie wiem czego pragnę! Bo z tem wszystkiem Paryż jest czarujący, zaprawdę! To kraj wieszczek i cudów salonowych! — Jakżeż zwłaszcza pierwszej zimy szalałam!... O!!... Słów na oddanie tego nie staje. Ale, prawdziwe to przysłowie: że i miód za słodkim być może! — Brakuje mi czegoś — żądam niby czegoś — czegoś nieznanego — niepojętego dla mnie samej — bo i odgadnąć nie umiem, czego?

W ostatnim liście zapytujesz mnie, ukochana Dobrodziejko moja, *in good earnest:* Kiedy przecież do kraju wrócimy? — Alboż ja wiem?... Tak się jakoś przywykło do tego życia — i Czesławowi mojemu, mojemu jedynie ukochanemu tu dobrze! Ma dużo przyjaciół — czas mu przyjemnie uchodzi, a zarazem i pożytecznie. Wierzaj kochana Pani, że i pożytecznie: zrobił kilka znajomości *of importance* — wysoko postawionych — *de haute consequence* — i to nie pozostanie bez znaczenia, bez skutków pomyślnych — rozumiesz mnie, najdroższa Pani? — Otóż więc nie wiem kiedy wrócimy — ale wrócimy przecież — i cieszę się na ten powrót. O, jak to Tadzio będzie skakał po trawnikach, i przypatrywał się kurom, gęsiom... Pstro mi w głowie, nieprawdaż, moja Dobrodziejko kochana?...‹

Kamerystka w sążnistej krynolinie, wystrojona z pretensją, niosąc na ręku śliczny barecik z aksamitu czarnego, z białem piórem posrebrzanem, co tylko od modystki przyniesiony, przerwała pisanie listu. Pani Ratymirska obojętnie na pełne elegancji spojrzała nagłowie, kiwnęła ręką; — kamerystka wykręciła się na obcasiku, — gdy w tejże chwili posłyszano w przedpokoju głosy, a do salonu wszedł pan pułkownik Włastowicz. Za nim ukazał się zafrasowany *Baptiste*, że ten jakiś jegomość, *fourré jusqu'aux dents, a forcé la consigne.*

— Wujaszku! — zawołała Eliza i rzuciła się ku niemu.

— Nie chciał mnie wpuścić, ten twój kamerdureń — wymówił pułkownik z uśmiechem, całując ją w czoło — alem, jako stary wiarus, wstępnym bojem próg zdobył i zwycięzko przestąpił.

— Jakżem szczęśliwa z przybycia wujaszka! — i Eliza zaprowadziła go do kanapki w budoarze. — Każę zaraz poszukać Czesława.

— Przyszedł razem ze mną i zaraz się tu stawi. Przeszkodziłem znać tobie! — i pułkownik wskazał na sekretarkę.

— Bynajmniej! Zaczęłam list pisać do pani Zaruckiej i dokończę go pózniej... Teraz przyniosę wujciowi mojego Tadzia.

Znikła po za portjerą z amarantowego pluszu i po chwili wniosła śliczne dzieciątko, bielutko ubrane, obrzucone płaszczykiem z błękitnego aksamitu — i tuląc i całując pieszczotkę, obok wuja usiadła.

Pułkownik pochylił się ku maleńkiemu i pocałował go w główkę — a Tadzio uśmiechnięty figlarnie, patrzał się nań z pod czoła i nieśmiało rączkę ku wąsom podnosił, z widoczną chęcią potargania za nie co rychlej.

Z poza portjery wyjrzała hoża wiochna w czerwonym gorsecie i wstęgach przy kapiku, haftowanym złotem.

— To mamusia? — zawołał pułkownik — chodźże tu kobiecino!

I mamusia przybiegła z radością na tę polską mowę i z serdeczną pociechą uścisnęła kolana dobrego paniczka.

— A zkądżeś przyszła do takiej mamusi w Paryżu? — zapytał pułkownik siostrzanki, pogłaskawszy raźną kobiecinę po głowie.

— Przysłała mi ją pani Zarucka na prośbę moją z Dąbrowca.

— Że to pojechać chciała?

— Mąż jej za to dostał gospodarstwo.

— I jakżeż wam podoba się tutaj? — zwrócił się pułkownik do mamusi.

— Och, jaśnie panie, toćże tu gdyby w niebie — odrzekła kobieta — że człeku aż zawraca się w głowie, ale... wszelako tęga okrutna sa swoimi i za wioską — dodała smutniej.

— Otóż to, otóż to! — poszepnął pułkownik, pokiwując głową.

W tej chwili nadszedł Ratymirski — i chłopiątko wesoło ku niemu zatrzepotało rączkami. Pobawili się jeszcze zpieszczoszkiem — a potem uniosła go mamusia.

— Wujaszek pozostanie z nami przez czas cały swojego pobytu w Paryżu — zaczął Ratymirski.

— Spodziewam się, że inaczej nie będzie! — i Eliza wuja w ramię pocałowała. — Dziś pojedziemy razem na operę: przedstawiają Normę. A jutro nie będziemy na balu u księżnej Matyldy, ale zaprosimy rodaków naszych do siebie: znajdzie wujek i znajomych pomiędzy nimi. Jakżem z tego szczęśliwa! — splotła w uniesieniu ładne rączki i przycisnęła je do piersi.

Po chwili wszelako poważniejsza potoczyła się rozmowa. Eliza dowiedziała się o przyczynie podróży wuja — i o niejednym smutnym mówiono przedmiocie. Bo co sercu cięży to i w uściech bywa — a gdy krwawe łzy roni, to i oczy przysłonią się łzawo. I lutnia smętnie nastrojona tylko taką przedźwiękuje nutą, gdyby nawet i ręka lirnika weselszą chciała wydobyć piosenkę.

(D. c. n.)

Sprawa polska na kongresie wiedeńskim

przez

Bronisława Zamorskiego.

Budowa dyplomatyczna Europy, która zawdzięcza swój początek kongresowi wiedeńskiemu stanowi dotąd jeszcze podstawę układu państw europejskich, pomimo tego, że się ta budowa ma coraz bardziej ku upadkowi. Rządy i narody powołują się jeszcze do dziś dnia na akty tego kongresu; jedna tylko sprawa polska, która zajmowała tam bardzo ważne stanowisko, nie została bynajmniej rozwiązaną według pierwotnego założenia kongresu wiedeńskiego. Stanowisko sprawy polskiej na kongresie bywało już nie jednokrotnie i to przez mężów niepospolitych zdolności roztrząsane, pomimo tego zbyt mało jest jeszcze u nas znana ta sprawa i zbyt pobieżnie bywa dotykana nawet przez naszych statystów, ażeby nowe jej obrobienie miało być zbytecznem. Postanowiliśmy przeto rozważyć w niniejszem pisemku czynności kongresu wiedeńskiego wedle sposobu, jak się na nie zapatruje większa część obcych i naszych dziejopisarzy.

I.

Po wygnaniu Napoleona na wyspę Elbę, miała Europa powrócić (jak się wyrażali założyciele tak zwanego świętego przymierza) do wieczystego spokoju uświęconego zasadami wiary katolickiej i ›prawowitością rządów‹ (legitimité). Do osiągnięcia tego pokoju potrzebne było zupełne porozumienie się ›sprzymierzonych‹ walczących jeszcze niedawno przeciwko Napoleonowi; co większa, potrzeba było ›prawowitym władcom‹ zadowolnić jakokolwiek wymagania narodów, których patrjotyzm był przez ostatnie walki nader silnie rozbudzony, a któreto rozbudzenie patrjotyzmu wywołało w tych narodach ważne zawiązki przyszłego wolnomyślnego ruchu.

W Niemczech istniał w całej sile ów sławny ›Tugendbund;‹ w Moskwie związek ›nastojaszczych moskali;‹ Włochy były podminowane spiskami, które zawdzięczały swój początek powstaniu przeciwko porządkowi francuskiemu; w Hiszpanji wzniecił fanatyzm religijny pobudzony w masach ciemnego ludu pewne uczucie samodzielności. Słowem tedy upadek Napoleona pozostawił Europę całą we wielkiem wzburzeniu;*) mnóstwo spraw między monarchami i narodami było do załatwienia; każdy miał jakieś roszczenia, każdy chciał przy przewidywanym rozprzężeniu państwa napoleońskiego jak najwięcej zyskać.

*) Cyryl Grodecki: *Die Rolle der Diplomatie bei dem Falle Polens. St. Gallen u. Leipzig*, 1835.

Wojny napoleońskie były rewolucyjne i miały za skutek pobudzenie ducha narodowego szczególnie w Niemczech, Włoszech i Polsce. Z tych powodów mieli monarchowie zwołujący kongres wiedeński z razu, przynajmniej pozornie, na myśli zaspokojenie potrzeb narodów. Nie długo jednak trwałc to postanowienie. Monarchowie uznali wkrótce wymagania narodów jako niezgodne z »prawowitością tronów.« Chwycono się więc zasady »status quo« jaki istniał przed wojnami napoleońskiemi. Kongres przybrał postać wielkiej targowicy, na której było wiele do wytargowania i przefrymarczenia. Rachowano pretensje swoje na ilość dusz i na mile kwadratowe. Kongres działał więc zupełnie w duchu tej samej polityki zaborczej i rozbiorowej jaka przy schyłku wieku zeszłego rozbiła Polskę. Polityka ta była, jak wówczas tak i w czasie kongresu wiedeńskiego, przeważnie prusko-moskiewska i wedle niej musiała się kierować cała Europa.

Wszelkie więc działania kongresu można z góry uważać jako wymożone a raczej nakazane przez te dwa mocarstwa. Czynności kongresu były lichym politycznym aglomeratem, który długo istnieć nie mógł i rzeczywiście nie istnieje, chociaż się do niego jeszcze po dziś dzień często ludy i monarchowie odwołują.

Car Aleksander był niejako dyktatorem Europy w czasie kongresu wiedeńskiego, co chciał, czego zapragnął, to wszystko Europa wykonywała dobrowolnie lub poniewolnie.

Ztąd poszło, że sprawa polska była prawie wyłącznie zależną od woli cara i nie można jej na kongresie wiedeńskim z innego stanowiska osądzać, jak tylko z tego, na jakiem ją car Aleksander i Prusy postawili. Polacy sami nie mieli bowiem reprezentanta między »panami prawowitemi«. Kościuszko nie był takim reprezentantem, książe Czartoryski nie był nim także, bo żaden z nich nie miał mandatu do reprezentowania Polski. Jedna konfederacja generalna, nie istniejąca już wtedy, mogła tu była mieć głos.

Książe Adam Czartoryski służył w czasie kongresu wiernie carowi, i miał podobno od tegoż przyrzeczone wicekrólestwo w Polsce zkonfederowanej z Moskwą. Czartoryscy marzyli dawno o koronie królewskiej, gdy im ta się nie dostała opuszczali Polskę, jak to uczynił książe Kazimierz Adam jenerał ziem podolskich. Teraz młody książe Adam chciał na wszelki sposób bodaj wicekrólem zostać; wedle myśli więc i chęci tego księcia nie mogła Polska być inną jak tylko moskiewską. Nie było zresztą na kongresie wiedeńskim nikogo, ktoby był myśl niepodległej Polski podniósł. Car świadczył się wojskiem polskiem, jemu podległem, i narodem polskim — kochającym go jak car twierdził — że Polska nie chce i nie może być inną, jak tylko moskiewską. Intrygi poprzednio prowadzone na rzecz cara w Polsce, wojsko polskie będące już pod rozkazami carewicza Konstantego były poparciem w podobnych odwoływaniach się cara.

Dla wyjaśnienia tego stosunku cara Aleksandra do Polski w czasie kongresu wiedeńskiego przytaczamy okoliczności, które go przygotowały.

W roku 1811 udawał car dla zjednania sobie przychylności Polaków i złudzenia ich w obec grożącego ze strony Napoleona niebezpieczeństwa, że chce prowincjom polskim nadać konstytucyjne urządzenia. W tym celu wynurzył się przed Ogińskim, że na przypadek wojny i pomyślnego jej skutku postanowił przywrócić królestwo Polskie i połączyć je z Moskwą w sposób, w jaki Węgry z Austrją są połączone, na wypadek zaś, gdyby to było niepodobnem, obiecywał Litwie nadać konstytucję. Jakoż wiadomo, że przed wybuchnięciem wojny polecił jenerałowi Armfeld i baronowi Rosenkampf ułożyć projekt konstytucji dla Litwy. Wittowi i księciu Kazimierzowi Lubomirskiemu poruczył ułożenie organizacji wojska narodowego dla ośmiu gubernij, tak zwanych zachodnich. Polecenia te były uczynione na papierze, a wykonanie zostało także na papierze: bo car odgrywał tylko komedję. Gdy już wojna była nieuchronną, podwoił car swoje umizgi do Polaków i odezwał się do bawiących wtedy w Petersburgu przychylnych mu w sposób następujący: »Przywrócenie Polski nie jest bynajmniej sprzeczne z interesem Rosji; nie byłoby to bowiem odstąpieniem podbitych prowincyj, ale raczej przemienieniem ich w mur obronny dla cesarstwa i przywiązaniem do interesu Rosji milionowej ludności, która nie może jeszcze zapomnieć dawnego swojego bytu. Polska może pozostać przy Rosji, a mieszkańcy jej mogą pomimo tego być szczęśliwymi i zadowolonymi, jeżeli będą mieli konstytucję... Co do tytułu króla polskiego czemużbym nie miał go przyjąć, kiedy to będzie miło Polakom? Lecz poczekajmy na skutek wypadków... Odebrałem dziś wiadomości zaspakajające, dają mi one nadzieję, że nie przyjdzie do ostatecznego zerwania z Napoleonem...«

Po tych słowach zażądał car ukazem deputacyj z ośmiu zabranych gubernij. Jakoż istotnie zjawiła się deputacja, składali ją: Lubecki, Wawrzecki, Giecewicz, Szadurski, Plater, Lubomirski, Czacki i Kozłowski.

Gdy wojna wybuchła, przypomniał sobie car znowu Polaków i powiedział im: »Skoro zwyciężę, przywrócę Polskę... Wiem, że to ulegnie wielkim trudnościom, ale chyba umrę, jeżeli zamiaru mego nie dokonam.« Aby swoje przyrzeczenia niejako uwierzytelnić, udzielił car, za poradą swoich wielbicieli i sług: ks. Adama Czartoryskiego, ks. Lubeckiego i Michała Ogińskiego ogólną amnestję dla Litwy. Wyjeżdżając w grudniu 1812 roku polecił Polakom*) »cierpliwość i zaufanie.« Z listu cara Aleksandra pisanego do ks. Adama Czartoryskiego d. 3. stycznia 1813 okazuje się, że car nie miał nigdy na myśli przywrócenia Polski, a to z powodu: 1) »że przywrócenie całej Polski pod berłem cara napotkałoby zawsze na opór innych mocarstw europejskich«, 2) że Litwę, Wołyń i Podole uważał car zawsze za »nieoddzielne od Moskwy«**).

Wówczas więc była już Polska zredukowaną na to smutne stanowisko, jakie do dziś dnia zajmuje. Dodajmy do tego, że kiedy wojska moskiewskie stanęły w Warszawie (w lutym 1813), a car Aleksander zajął główną kwaterę w Kaliszu, wtedy odstąpił Prusom w zamian za przymierze »kawał kraju, mający pod względem wojskowym i gieograficznym łączyć stare Prusy z Szląskiem« t. j. Wielkopolskę. Równocześnie ustanowił car rząd tymczasowy dla księstwa Warszawskiego pod nazwą »Rady Najwyższej«. Zachował on wprawdzie te same formy administracyjne, jakie były za rządów Frydryka Augusta, ale sam skład tej rady rokował, jakim duchem będzie ożywiona. Prezesem tego rządu tymczasowego był senator moskiewski Łańskoj, wiceprezesem Nowosilcow, radzcami ks. Adam Czartoryski, ex minister carski, Wawrzecki, człowiek podeszłego wieku i chwiejnego charakteru, ks. Drucki-Lubecki, zmoskwicony Rusin i J. Colomb, szpieg pruski.

Zaprzedał więc car część Polski Prusom jeszcze przed kongresem wiedeńskim; okazał oraz przez skład rządu tymczasowego, że jakakolwiek by część Polski była z Moskwą w połączeniu, będzie zawsze zostawać w ściślej zależności od niej.

Taki to znikomy był tryumf stronnictwa moskiewskiego w Polsce. Tem większy był tryumf cara na kongresie wiedeńskim, w ciągu którego zwolennicy carscy, a między tymi głównie ks. Adam Czartoryski nie wahali się, pomimo oczywistego przekonania się o złudliwości obietnic carskich, przemawiać na korzyść cara i wciągać do tej nieczystej roboty ludzi tak niepokalanych i szlachetnych, jak Kościuszko i legjoniści polscy.

Za pobudką-to ks. Adama Czartoryskiego przyjmował car, przybywszy 13. kwietnia 1814 z bratem swoim Konstantym deputację od wojska polskiego, złożoną z jenerała Sokolnickiego i pułkownika Szymanowskiego. Już wówczas przeszło wojsko polskie w służbę cara, chociaż o losie Polski nikt jeszcze nic nie orzekł. Car, jako wielowładny pan w Europie, nieznający granic swej woli, mógł już wówczas rozkazywać wojsku pol-

---

*) *Michel Ogiński: Memoires de 1788 à 1815. Paris 1817.*

*) *Lettre de l'Empereur Alexandre I au prince Adam Czartoryski. 1813.*

skiemu, oświadczając deputacji: »Wojsko polskie zatrzyma pierwiastkowe urządzenia swoje, a w. księcia Konstantego mieć będzie za dowódcę.« — Te słowa malują już ówczesne położenie Polski, t. j. iż raz popadłszy w ręce cara, tylko orężem mogła mu być wydartą, że już miała zostać moskiewską, a kongres wiedeński miał być tylko zwyczajną formą przyznania carowi tego, czego sam pragnął: oprzeć mu się nie było już wtedy sposobu. Legjony polskie otrzymawszy w miejsce uwielbianego i ukochanego ks. Józefa za dowódcę człowieka wpółdzikiego, carewicza Konstantego, były w nader smutnem położeniu i czuły gorżko poniżenie swoje, a jednak nieszczęsne zaślepienie co do zamiarów cara względem Polski trzymało najpatrjotyczniejsze serca na uwięzi aż do roku 1830. (C. d. n.)

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

III.

(Ciąg dalszy.)

W r. 1854 okazały się »Myśli serdeczne«, wydane w Jersej. W kraju książka ta nader mało rozpowszechniona. Z wszystkich ówczesnych pieśni, pisanych w obczyźnie przez wychodźców, noszą one może najwybitniejszą cechę emigracyjną. Wszystkie prawie okolicznościowe, pisane pod wpływem chwilowego uczucia. Ztąd i estetyczna wartość ich różna. We wszystkich drga ni to promień słoneczny w pojedyńczych kroplach wody, już wówczas mocno spotęgowane uczucie miłości. Zewnętrzna forma nader pojedyńcza, poetyckiej okrasy stylu nie wiele, ale wiersz bardzo płynny, a cechuje go pewna osobliwsza siła i żywość, będąca świadectwem o głębokiem przejęciu się poety wygłaszanemi prawdami a dobitnością wyrażeń, przypominająca artykuły »Krzyża a Miecza.«

Pieśni te poprzedza ośmiokartowa przedmowa, w której autor najprzód porównywa naród nasz do owej Peri w »Raj i Peri« Tomasza Moora, której po wielu bezskutecznych próbach wrota do raju otwiera dopiero »łza skruszonego winowajcy«. Tak też i my kilkakrotnie przystępowaliśmy do wrót raju narodowego, niosąc jako okup: krew. »Alež pomyślmy — pisze Baliński — krew jestże to dar?« jestże to dar rzeczywiście wielki? — czyż to my tak wielką cenę przywiązujemy do naszej krwi, do życia, do tego nędznego niewolniczego tułaczego życia. Nie, nie! bądźmy szczersi, krew u nas to żadna drogość, toć przecie rozrzutnikami krwi nas cały świat nazywa i raczej odwagą byłoby u nas krwi odmówienie«. A więc na okup ów trzeba nam daru większego. »Nie wrogi odebrali nam ojczyznę naszą, ale Bóg dla grzechów naszych.« »Ludziom więc świata i wrogom musimy dać wiele tej krwi, ale Bogu musimy dać dar stokroć dla nas cięższy, musimy dać żal za grzechy popełnione i przyrzeczenie poprawy na przyszłość«, a raczej, jak się z dalszych słów okazuje, jej wykonanie. A siła do spełnienia nigdzie indziej, jeno w nas samych. »Prawem naszem jedynem jest prawo Boże, słowo Zbawiciela, a prawo to nasze jest jedno i to samo w kościele i w domu — na roli i w obozie — przy pługu i przy szabli — w kraju i za krajem — z bratem i sąsiadem — z przyjacielem i wrogiem. ..... Mądrość nasza domowa, społeczna, polityczna i religijna jedna jest i ta sama, bo mądrość nasza to miłość«. Zwrócić tu należy uwagę na to, że Baliński chce rozciągnąć to samo prawo miłości na wszystkie stosunki. Nie możemy się wstrzymać, by nie przypomnąć tu zupełnie podobnego miejsca w »Poemacie niedokończonym«. Alboż ołtarze Boga tylko pod katedry sklepieniem? Wszędzie, i w izbie poselskiej, i na trybunale, i w kole wyborców, i w kole wybranych, i na stolicy władnej, i na rynku pospolitym, i w rękodzielni, i na giełdzie, i w sztuce każdej, i w każdej umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie. Każdy trud w posłannictwo, każdy urząd w kapłaństwo się zmieni, i czcią tego, który jest, będzie być i żyć.

Dotychczas religja zajmowała się przedewszystkiem indywidualnością człowieka. Chrześcijaństwo osiągnęło swój szczyt w tym rodzaju w askezie średniowiecznej. Teraz podnoszą pisarze nasi, że religja nie powinna ograniczać się na murach kościoła lub zakresie działalności indywidualnej, lecz że przeciwnie winna jest objąć całą sferę życia tak pojedyńczych ludzi jak ludzkości całej. Myśl ta w zastosowaniu do narodu jest, rzec można osią, około której obracają się całe »Myśli serdeczne«.

Na początku tego zbioru znajdujemy dwa nie powiem erotyczne wiersze, ale raczej dumki na temat przeszłej indywidualnej miłości. Tu po raz ostatni wspomniawszy Baliński owe uczucie, nie wraca już doń nigdy w późniejszych pismach. — Dalej znajdujemy wiersz: »Żniwiarze w roku 1849«, jedyny ironiczny, jaki w poezjach jego napotykamy. Występują tu chóry jednego narodu po drugim, opisują swe nieszczęścia i rzucają przekleństwo Francji, która je opuściła. Wiersz to jeden z najbardziej nieudałych, boć też porwał się w nim autor nie na swoją rzecz — na ironję. Widać, że serce poety było głęboko zakrwawione i sadziło się na szyderstwo, którego w głębi duszy Karolowej nie było. O ówczesnym zapatrywaniu się swojem na sarkazm tak pisze w liście do K. Wojcickiego:

Niegdyś, mój drogi, śmiech z głębi mogiły
Za najmocniejszy brałem dowód siły,
Ów śmiech bezbożny w bolu, Konradowski,
Ów ból, którego pełen jest Beniowski,
Co się łzy wstydzi, czy zmięknąć się lęka,
Więc śmiechem kryje serce, które pęka.
Dziś już wiem, bracie, że łza bezofiarna
Jak śmiech szyderczy grzeszna jest i marna,
Że łza rozpaczy równo z takim śmiechem,
Dla chrześcijanina zgrozą jest i grzechem.
Dziś wiem i czuję, że siła prawdziwa
Nie w łzie, nie w śmiechu, lecz w krzyżu spoczywa,
W onej pogodzie, co w męczarń koronie
Tem szerzej promienie miłości roztacza,
Jeszcze do objęć wyciągając dłonie
Za katem srogim modli i przebacza;
Taka pogoda, toć najwyższe męstwo
I w takiej tylko sile jest zwycięstwo;
Przed nią to jedną piekła moce bledną,
Prawdziwa siła a miłość — to jedno.

Potem następuje kilka wierszy przygodnych. We wszystkich przebija się tęsknota za krajem, ale zarazem i silna wola dotrwania na stanowisku, na którym Bóg poetę postawił, by na niem służył Polsce, śród trudów i cierpień za jedyną nagrodę spokoju sumienia. Na szczególną uwagę zasługuje improwizacja na dzień 27 czerwca 1852 r. zdaje się z okazji imienin Władysława Dzwonkowskiego, z zakończeniem wzywającym »do gromady« t. j. do wspólnej pracy. — W wierszu zatytułowanym »Polonez« tak określa poeta los naszej przyszłości:

A to potem w naszym ręku,
W silnej woli, w bratniej zgodzie,
W pieśni dźwięku, w szabli szczęku,
I w prawdziwej serc pogodzie.

Z wszystkiego widać, że już wówczas pokładał Baliński całą nadzieję w tem, cośmy w poprzedzającym rozdziale moralnem podniesieniem jednostki nazwali.

Do poematu »Dwa Morza« bierze niejako pochop z porównania morza Śródziemnego, nad którego brzegami wówczas przebywał, z morzem uczuć, grającem w piersiach poety. Jest-to szereg pojedyńczych krótkich wierszy na ten temat. W pierwszych przebija się bardziej strona egotyczna, później zwraca się bardziej do sprawy ogólnej. Jest to znów jeden ze słabszych utworów Balińskiego. Jednakże przytoczymy tu ustep z piosnki trzeciej:

a któż zliczy
Ile w tem (mojem) sercu bolów i goryczy!
Ja sam — nie zliczę; nie chcę i nie mogę,
Po co, żeby się cofać? radzić? prosić?

Radzić! a o co? sam znam moją drogę;
Prosić! któż za mnie może krzyż mój nosić?
Cofać się? czemu! czy, że gromy biją?
Ale ja kocham gromy! — o! niech żyją!
Tak! ale takie tylko, co nie kłamią,
Co kiedy mają tępić, to w najkrwawsze!
Co kiedy zaczną łamać — to w szczęt złamią,
A kiedy mają zbawiać — to na zawsze!
Po których wieczny już rozbrat z żelazem,
Na takie Polak czekam — pójdziem razem!

Tylekroć zarzucano Balińskiemu i jego politycznym przyjaciołom bierność — martwotę. Powyższy wyjątek zadaje kłam tym twierdzeniom. Tyle tylko jest w nich prawdy, że nie życzyli sobie pracy ni ruchu społeczeńskiego, któryby nie na ich podstawach był oparty, co jest bardzo naturalnem, bo weń nie wierzyli, ani się po nim wprowadzenia tego, co za konieczny warunek szczęścia narodu uznawali, spodziewać nie mogli. Dla tego też pragnęli oni gromów, co w szczęt łamią, na zawsze zbawiają i po których już wieczny rozbrat z żelazem, bo wszystko co trzeba naprawić, już naprawionem zostanie. Ruch podobny powinien być na miłości opartym, ale nie idzie za tem, by jeżeli na drodze nowemu porządkowi staną przeszkody, nie użyć siły ku ich usunięciu. Przypominamy tutaj jeszcze jaśniejsze wyrażenie się w tym względzie Sew. Goszczyńskiego w modlitwie ›Jam proch‹, drukowanej w r. 1861 w Dzienniku Literackim, gdzie powiada, gdy cały naród pozna i ukocha prawdę, to daj nam Boże

Ukazać ją wrogowi, co nas uciemięża,
Albo miłością serca, lub w ostrzu oręża.

Niechęć ta do mienia udziału w ruchu obcym ich zasadom nie szła jednakże tak daleko, aby w razie, gdyby naród ich do swej służby powołał, nie mieli stawać na przeznaczonych im stanowiskach. Niechęci zaś owej na serjo za złe brać im się nie godzi.

Dalej znajdujemy poemat ›Duch lilji białej‹, pisany wierszem białym dziesięciozgłoskowym bez średniówki. Jest to coś nakształt obszernej przypowieści. Treść jest następująca. Gęślarz przy dniu świątecznym w karczmie zgromadzonych prowadzi na jakiś kurhan i odśpiewuje przy dźwięku lutni taką powieść: W pewnym kraju (poeta na wzór ludowych powieści bliżej go nie określa) ustała zacięcie prowadzona walka o niepodległość, kraj został podbity, ale nie stracił nadziei, gotował się do walki. Na czele spisku stał rycerz Czarny, który się już był w pierwszej walce odznaczył, ale wróg poznał co się święci, porwał go i w więzieniu osadził, wkrótce potem podobny los spotkał i dwóch braci Czarnego. Spisek się rozchwiał. — W rok później kazano całemu narodowi zebrać się w pewnem miejscu; miał być publicznie wykonany wyrok na buntownikach. Prowadzony pod szubienicę Czarny przemówił do ludu, wielbiąc łaskawość tyrana a rzucając klątwę na wszelki bunt i powstanie. Miał on za podobną mowę obiecane ułaskawienie, ale przewodniczący tej egzekucji uradowany z podobnego spodlenia bohatera narodu, każe wypełnić na nim wyrok śmierci. Drugi skazany prosi o łaskę, by mógł pocałować swój wyrok, a gdy się zbliża w tym celu do sędziego, wyrywa sztylet z za jego pasa i uderza go nim w piersi, ale raz był bezskuteczny, bo sędzia miał pancerz na sobie. To niepowodzenie łamie jego ducha, konając mówi: ›O! Bóg jest dla silnych ciemięzców, tylko go nie ma dla ciebie Ojczyzno‹. Trzeci zabija się w więzieniu z obawy przed torturami. Tu sędzia kazał zanucić hymn pochwalny dla tyrana. Wszyscy są posłuszni, tylko jedna wiejska dziewczyna nie usłuchała rozkazu. Przyprowadzona przed trybunał śpiewa hymn do Boga kończąc słowami: ›Chrześcijanka, córka świętej ziemi, nie znam Pana żadnego prócz Boga, i to moja pochwała dla urzędu‹. Sędzia używa wszelkich środków, by ją zmusić do posłuszeństwa, ale wszystko nadaremnie. Dziewczyna tak wreszcie mówi:

Jestem z tego świata, co nadchodzi,
Z tego świata, co w grobie się rodzi,
W płaczu, w bolu i w szczęku łańcucha;
A na to się rodzi śród grobów,
Aby śmierć pokonać, zagładzić;
A na to się rodzi śród grobów,
By niebo na ziemię sprowadzić;
A na to się rodzi śród płaczu,
By wszystkie łzy ludów osuszyć;
A na to się rodzi w łańcuchach,
By wszystkie łańcuchy pokruszyć.

Ta odpowiedź zmięszała sędziego, nie mogącego jej zrozumieć. Na to powstaje jeden z jego przybocznych i tłumaczy mu, że tych, którzy w imię osobistej siły do walki występowali, łatwo fizyczną pokonać przemocą, ale nie można zgnieść narodu, którego duch takową siłą się objawia w słabej nawet dziewczynie. — Myśl przewodnicząca bardzo jasna. Nie płaszczenie się przed wrogiem, ni walenrodyzm, ni siła brutalna zbawią naród, nawet najtęższi nie wytrzymają próby, podczas gdy słaba zresztą istota, ale przejęta miłością Boga i narodu, cudów dokazywać zdoła.

Przy końcu zbiorku znajdujemy znowu kilka krótszych wierszów. W Kolendzie zapowiada światu, że ›w naszych sercach Bóg się rodzi (t. j. Boga lepsze poczucie i uwielbienie), a gwiazdą przewodnią, aniołem prostującym drogi Pańskie, jest Polska.‹ W ›Naszej drodze‹ zbiera poeta niejako wszystko, co dotąd powiedział. Pieśń ta należy do najpiękniejszych. Zasadą działania ma być miłość ›Boga i ojczyzny‹:

Siła zemstą karmiona ostygnie,
Ręka zemstą wiedziona omylna,
Ona polskiej chorągwi nie dźwignie
I do polskiej szablicy bezsilna.
My narodów nie cierpieć nie możem,
My tylko ich jarzm nienawidzim;
Za wszechludzkość my dusze położym,
To nam zemsta, a inną się brzydzim.
— — — — — — — —
Jedna tylko jest droga przed nami,
Jedna tylko do Polski — przez Boga
— — — — — — — —

A kończy:

Za wszechpodłość, za mordy, za zdradę,
Za wpojoną truciznę i zgniłość,
Zbójcom ludów niesiemy zagładę,
Ale ludom swobodę i miłość.

Tu stanął Baliński na szczycie pojęcia nauki miłości, a jeżeli je dalej rozwijał, to chyba w zastosowaniu praktycznem — w teorji dalej już pójść nie mógł.

Na tem kończy się szereg drobnych poezyj Balińskiego. Z późniejszych czasów żadne już drukowane nie były, chociaż w rękopiśmie ma ich być bardzo dużo, a niektóre, jakieśmy mieli sposobność czytać, nie ustępują wcale najpiękniejszym ze znajomych pod względem pięknych myśli i siły wyrażenia. Pod względem estetycznej formy ›Myśli serdeczne‹ stoją niżej od poezyj umieszczonych w zbiorku wydanym w Poznaniu. Widoczny w nich brak walnej myśli u autora, z wyjątkami, brak im także wyższego polotu, natomiast częsta skłonność do moralizowania. Powtarzamy z wyjątkiem, gdyż i tu znajdujem rzeczy śliczne, jak n. p. ›Nasza Droga‹.

Mówiąc o ówczesnych poezjach Balińskiego, należy wspomnąć tu o ›Bratniem słowie śpiewakowi Mohorta‹, wydanem w Londynie w r. 1854.

Biada tej ziemi, gdzie ciepło słoneczne,
Nic rozpromienić, nic rozgrzać nie zdoła,
Biada tym sercom, gdzie słowo serdeczne
Gorejącego echa nie wywoła.

Z tego założenia wychodząc, poeta dziękuje Polowi za obdarzenie narodu tak pięknym poematem, jakim jest ›Mohort‹, w imieniu

tych wszystkich, co cierpią,
A ból pokorą uświęcić umieją,
Co wszystką siłę tylko z krzyża czerpią,
Którym on całą siłą i nadzieją;

W imieniu wszystkich, co wzorem Mohorta
Na całe życie wyparli się czorta
I wszelką z piekłem wzgardzili umową,
Bo weszli w świętą służbę, Chrystusową.

Tu poeta puszcza wzrok po niwie ówczesnej literatury:

I pośród śpiewaków polskich,
Jednych porwała straszna zawierucha,
W jakieś nie kraje, lecz przepaście ducha
— — — — — — — —
Zerwali węzły łączące ich z duchem.

Takim był Słowacki:

Inni porwawszy prawdy wiekuiste,
Wznieśli się z niemi w sfery takie mgliste,
I utonęli gdzieś w italskich chmurach,
— — — — — — — — —
A wzrok od pługa wysłany za niemi,
Znużon szukaniem znów wraca do ziemi.

Oczywista tu aluzja do ›Przedświtu‹ i do całego w ogóle sposobu pisania Krasińskiego.

Inni wprost poszli drogi przeciwnemi:
Ci duszą całą przylgnęli do ziemi
I ziemię złocą — — — — —
Życie tak ciężkie — trzeba je okrasić,
Prawda tak razi — trzeba ją przygasić,
— — — — — — — — —
Lecz złe nie czeka, lecz truje i ziębi
I powróz wciska głębiej, coraz głębiej.

Tu zwraca się poeta do autora ›Mohorta‹:

Tyś jeden został na tej wysokości,
Gdzie leżą ojców bezpotomnych kości,
I gdzie pokryte rdzą „klucze dziejowe"
— — — — — — — —
— — — choć nie brak ci skrzydeł,
Co i najszybszym orłom mogą sprostać,
Aleś rozróżnił prawdę od mamideł
I wierny ojcom wolałeś pozostać,
I duchem idąc za starym przykładem
Błądzącym braciom stoisz drogoskazem.

Lecz za cóż tyle pochwał? Czyż poemat choćby najzupełniej odpowiadający wszelkim wymaganiom sztuki może mieć taką wagę, a zwłaszcza dla narodu, co mniej niż inne ma czas zajmować się sztuką, ile że sam byt ma zakwestjonowany. Otóż główną zasługą Mohorta w oczach Karola jest nie zewnętrzna forma, ale podnoszenie pięknych i zdrowych stron przeszłości naszej a bez apoteozowania tego, co było w niej złem. Naród nasz ma, podług Balińskiego, wszelkie warunki dokładniejszego i doskonalszego rozwoju niż wszystkie zachodnie. Jednakże rozwój ten został przez wewnętrzne i zewnętrzne przyczyny wstrzymanym. Naszą więc dzisiaj rzeczą jest poznać drogę, po której postępował nasz naród, do którego punktu doszedł, w jakim kierunku byłby się dalej rozwijał i na którem miejscu byłby teraz, gdyby mu nie przeszkadzały przeciwne okoliczności. To poznawszy, należy zrobić to, czego dotąd nie zrobiono i podnieść naród na ów stopień. Tym sposobem zmażemy grzechy ojców, bo wytępimy złe, co z nich powstało, podniesiem dobre, zarazem zaś stajemy się godni nowego życia. Charaktery zaś mohortowe przedstawiają nam właśnie ową lepszą stronę dawnego życia narodowego:

To już nie duchy z ciała wyzwolone,
Lecz krew i ciało duchem przeniknione.

Przypominamy to, co przy końcu drugiego rozdziału mieliśmy sposobność wypowiedzieć, że postęp w jednostce nie zależy na podbiciu ciała przez ducha, ale na podniesieniu uszlachetniającem jedno przez drugie, na jego uduchowieniu, jak się wyraża Mora w ›Fundamentach do budowy społecznej‹. Przytaczamy też podobny a charakterystyczny ustęp z ›Poematu niedokończonego‹:

›*Chór niewidzialny:* Kogo wprowadzasz do zboru? czy tylko nie ciało pozbawione duszy. *Aligier:* Takie ciało kamieniem śpiącym. *Chór:* Może duszę bez ciała. *Aligier:* Taka dusza czemciś, co niczem jak sen. A więc dusza i ciało razem z sobą połączone dopiero stanowią ideał człowieka.‹

Rozwiódłszy się na ten temat nieco dłużej, poeta kończy dziękowaniem raz jeszcze za ten piękny obraz przeszłości naszej, a razem chcąc odpłacić się czem może, powiada:

A teraz, bracie, przyjm od nas z koleji
Słowa miłości, wiary i nadziei.

A jakież są te słowa pociechy? oto jest to objawienie Polonji dzisiejszej religijno-społeczno-politycznej sytnacji:

Z martwych wskrzesiwszy duch twój Mohortowy,
Już nie samemi dziś przemawia słowy,
Lecz już jak niegdyś pisząc się mężami.
— — — — — — — — —
Bo święty sztandar ojców znów podjęty.
— — — — — — — — —
Bo dziś sam całe chrześcijanstwo pokrywa.
I patrz na świecie dwa tylko sztandary,
Jeden nasz polski, drugi dzierżą cary,
Inne zaś wszystkie, to znaki bez wagi.
Pod carskim sztandarem stanęło
Wszystko co znamię człowieczeństwa starło,
Nieba się zrzekło, Chrystusa wyparło,
Wszystko co gnębi i w gnębieniu braci
Roskosz znajduje i z łez się bogaci;
Wszystko, co w bracie nie chce widzieć brata,
Wszelki fałsz świata, wszelki bezwstyd świata.

Również znajduje się tu choć bezwiednie przepowieść bierna słomiana (jak ją autor nazywa):

Wbrew temu piekłu — śmiało — oko w oko
Stanął nasz sztandar sam jeden wysoko.
— — — — — — — — —
Wszystko co bolem ku niebu się wzniosło,
Co we łzach żyje i we łzach urosło,
Wszystkie świętości przez świat podeptane
I wszystkie związki Boże rozerwane,
Zgwałcone prawa boskie i człowieka,
Wszystko co kocha i cierpi i czeka,
Wszystko co tęskni, pragnie i w pokorze,
Modli codziennie o królestwo Boże,
Wszystko, co jęczy i pada śród trudów,
Nadzieje ludów i cierpienia ludów,
Z bolów ogromem i z cierpień bezmiarem,
Wszystko to stoi pod naszym sztandarem.
Jeśli nie ciałem jeszcze, nie ramieniem,
To już modlitwą, sercem i westchnieniem.

Podnieść i rozwinąć ten sztandar w obliczu całego świata ma ślicznymi rysami naszkicowany hetman ›Słowo Boga‹. Wprawdzie mała jest garstka, co mówi z poetą, myśli i czuje, ale żaden z nich nie cofnie się przed trudnościami,

A nie ma dla nas warunków układnych
I ustępstw żadnych i pośrednictw żadnych,
Nie ma sojuszu, nie ma miru z wrogiem,
Aż się ukorzy - - nie nam — lecz przed Bogiem.

Sam ten poemat jest niejako podniesieniem owego sztandaru, wypowiedzeniem programatu politycznego działania. Zwraca tu na się uwagę używanie raz wraz wyrażeń ›my‹, ›nasz‹ i t. p. Wprawdzie i w dawniejszych utworach przemawiał Baliński nie raz w liczbie mnogiej, ale czynił to raz na mocy przyjętego w piśmiennictwie zwyczaju kładzenia ›my‹ zamiast ›ja‹, powtóre w imieniu narodu. — Tutaj rzecz ma się zupełnie inaczej. Słowo ›my‹ odnosi się w tym poemacie najwidoczniej do jakiegoś stronnictwa, partji czy zastępu ludzi, równie myślących i czujących z autorem. (D. c. n.)

List Zygmunta Miłkowskiego.

Belgrad dnia 21 Marca 1866.

Nigdy nie byłem wdzięczniejszy Bogu za udzielenie mi trochę pisarskiego talentu, jak w tej oto chwili, kiedy piszę dla organu polskiej młodzieży. Doznaję pewnego rodzaju niewypowiedzianego zadowolnienia. Czuję że te wyrazy, które z mego pióra na papier spływają, z papieru nie pójdą na wiatr, ale do umysłów i serc młodych Polaków. Chciałbym przeto te wyrazy tak dobrać, tak je zestawić i uszykować, ażeby każdy z nich miał jakąś wartość wewnętrzną, ażeby wszystkie razem wyglądały jak hufiec, skupiony pod pływającym w powietrzu sztandarem — tym sztandarem, który kosztuje nas tyle łez i tyle krwi i tak jest nam drogim; Bóg wie, czy memu chceniu dopiszą siły. Jednakże — sprobóję.

Długo nie odpisywałem na Wasz list, bo myślałem: o czem pisać? — Nie chciałem utraktować Was lada czem. Myślałem i — nic nie wymyśliłem. Puszczę więc pióro: niech samo szuka przedmiotu.

Gdyby los pozwolił mi zejść się z młodzieżą polską, tylebym miał z nią do mówienia, że zdawałoby mi się, iż sam sobie włożyłem pęto na myśl, gdybym na czele artykułu wypisał tytuł. Dla czego? — bo to młodzież polska, bo to dziatwa, której rodzicielka — żyje — w grobie. Więc o tej matce, o tym grobie, taka niewyczerpana a rozmaitością bogata treść, iż można o niej bez końca mówić i mówić, pisać i pisać.

Nie będę wszakże pisał ani o matce, ani o grobie, ale o dziatwie.

Rozpatrując się po świecie, postrzegłem różnicę, jaka zachodzi pomiędzy polską a każdego innego narodu młodzieżą. Różnicę stanowi obowiązek, albo raczej zadanie, wkładające z góry pewne obowiązki, o których ani ma wyobrażenie dorastające pokolenie uczących się Francuzów, Anglików, Niemców, Włochów, etc. Dla tych kwestja tak stoi: „ucz się, a nauka rozwiąże dla ciebie zadanie życia;“ dla Polaków: „przystępuj do nauki z całą świadomością powinności, ciężących na tobie, jako na członku społeczeństwa.“ Pierwsi przeto uczą się z tem iż później obrócić mogą naukę dowolnie na własną, na samejże nauki lub na społeczeństwa korzyść; drudzy, mając z góry wytknięte powinności, powinnościom tym podporządkowywać muszą naukę, czyniąc ją przez to w każdym razie środkiem, narzędziem.

To że nauka jest narzędziem nie jest bynajmniej dla nauki poniżeniem. Zresztą jest ona zawsze narzędziem jakiegoś celu, nadającego jej dodatnią lub ujemną wartość. Archimedes, broniący ojczyznę nauką, zrobił z niej narzędzie szlachetne; moskiewscy uczeni, fałszujący dzieje w celach zaborczych, zohydzają to narzędzie. Uczony, posługujący się nauką w celu posunięcia jej naprzód drogą prowadzącą do prawdy, robi z niej narzędzie święte; człowiek, posługujący się nią w osobistych widokach, nadaje jej znaczenie hybla w ręku stolarza, lub szydła w ręku szewca. Moskale zrobili z nauki narzędzie karjery, Niemcy narzędzie chleba. Tu się uczą dla znaczenia, ówdzie dla komfortu; tu szkoły i uniwersytety są nie czem innem, jeno rozsadnikami czynowników; ówdzie fabrykami inżynierów, mechaników, doktorów — ludzi bardzo użytecznych, ale najprzód sobie, a potem względnie, społeczeństwu.

Dla polskiego młodzieńca kwestja, jakiem w jego ręku nauka ma być narzędziem, rozwiązuje się sama przez się. On z góry wiedzieć powinien, że uczy się dla tego, ażeby był przedewszystkiem użytecznym społeczeństwu a więc wiedzieć powinien czego społeczeństwo po nim wymaga?...

Czego? — pytanie ważne, na które odpowiedź tkwi w sumieniu każdego Polaka — a to sumienie ukazuje mu na trumnę i na przyćwiekowane wieko i na stojących do koła strażników, przyciskających każdy z osobna ćwiek i nad obowiązek, większy na wszystkie, większy nad wszystkie i wszystkie poprzedzający, odtrącenia tych strażników, oderwania tych ćwieków i wyprowadzenia z trumny tej co ma „hienę na sobie i grób i oczy utworzone w grobie.“

Taka tu powinność cięży na młodzieńcu polskim, przestępującym próg każdego zwłaszcza wyższego naukowego zakładu.

Powinność ta postępuje potrzebę nauki i uszlachetnia ją jako narzędzie — potęguje i uszlachetnia w archimedesowym sensie, tylko obszerniejszym, bo zastosowanym do wszystkich objawów narodowego życia, oblężonych i szturmowanych przez nieprzyjaciela. A więc wymaga nauki nie w jednym jakimś kierunku, ale wszechstronnej, obszernej, głębokiej, wykradającej naturze tajniki, myśli sposoby i skierowującej je w jedną stronę, ku jednemu celowi — ku spełnieniu powinności względem tej co w grobie.

Cel przeto nauki dla Polaka jest sam w sobie podniosły i z potężnemi połączony podnietami. Stoi on przez opatrzność postawiony. To się pokazuje ze skutków. Przez lat blisko sto, pod gniotem naukowych do polskich głów w najgorszej intencji zastosowywanych systematów, nieco umysłowo powinna już była u nas zarosnąć chwastem i zielskiem. Czem że są te dzieje, że ta niwa wydaje i kwiaty i owoce — nie w takiej wprawdzie ilości i jakości, w jakiej by to przy sprzyjających być mogło warunkach; ale przecie wydaje, znacząc powolnym chodem cywilizacyjną ciągłość i snując bez przerwy nić tradycji naukowej? — Powód tego nadzwyczajnego zjawiska tkwi w tem właśnie, że dla Polaków cel nauki stoi polski a nie inny. Niech byśmy bowiem stracili go z oczów — albo też — niechby on przestał istnieć, to jedni z pomiędzy nas uczyliby się dla nauki i utonęli kosmopolitycznie, drudzy dla chleba lub znaczenia i przeszli do Niemców i Moskali. Uczeni jednakże nasi tego nie czynią. Wyrzekają się sławy i środków, powagi znaczenia, łamią się z tysiącznemi na każdym kroku umyślnie dla nich stawianemi przeszkodami i trudnościami i pracują dla sponiewieranej ojczyzny. Najwybitniej widzieć się to daje na głośniejszem od nauki piśmiennictwie. Moskiewskie szkoły wydają polskich pisarzy, bez względu na to, że moskiewska literatura czyha na nich ze wszelkiemi ponętami bogactwa, rang i orderów, wabiąc ich ku sobie wszelkiemi sposobami, jakie tylko do ułomności ludzkiej zastosować się dadzą. Poszli niektórzy (Senkowski, Bulharyn, Glinka i pare jeszcze), lecz przykład ich nie oddziałał na ogół. Polacy, czujący w sobie autorskie namaszczenie, walczą z prześladowaniem i nędzą i piszą po polsku, bo instynktowo niejako poczuwają się do obowiązku pracowania nie dla czego innego, tylko dla ojczyzny. Jakaś tajemnicza potęga trzyma ich pod narodowym sztandarem — pod tym sztandarem, który napastnicy usiłują przedstawić im, jako zbrukany łachman, nieprzydatny do niczego, bo nawet ani do tego, ażeby utalentowanemu człowiekowi zapewnił chleba kawałek.

Dotychczas działo się to instynktowo, mimo naszej wiedzy. Z tej tajemniczej siły nie zdawaliśmy przed sobą sprawy. Szliśmy, że tak powiem, popędem natury, która wilka ciągnie do lasu, Polaka pod sztandar narodowy. Dla tego w tym pochodzie naszym, nie ma ładu i składu, nie objawia się pewność i śmiałość zbiorowej siły.

Mnie się zdaje, że sprawa nasza wieleby na tem zyskała, gdyby cel nauki stanął jasno i wyraźnie, określony tak, ażeby niewiadomością lub wątpliwością nikt się nie mógł wymawiać. Mniejby ustawało w drodze; mniejby poprzestawało na poduczeniu się: mniej nakoniec, w późniejszym wieku, w obec trosk i zawodów i ponęt życia, wyrzekałoby się „błędów młodości.“

Słówko o tych „błędach“. Dobrze że mi one pod pióro się nawinęły. To daje mi sposobność pomówienia o studenckich konspiracjach.

Któż ich nie zna! kto z nas starszych nie konspirował! Czy jest choć jeden z poważnych, a obdarzonych pewną dozą wewnętrznej wartości obywateli, który w młodych latach swoich nie szukał punktu dla oparcia na nim dźwigni, w celu wyrzucenia starego świata z posad!

Nic naturalniejszego jak te konspiracje. Bezwzględnie nie sposób je potępić. Zgromadzona w pierwszej lepszej szkole polska młodzież, widząc się w pewnej liczbie, a wiedząc że liczba jest siłą, wpada na myśl zużytkowania tej siły w celu najpiękniejszym, jaki człowiek wymyślić może. Bierze się wprost do wyzwolenia ojczyzny. I myśl piękna i zamiar nienaganny. Co w tem nagannego, to, że wykonanie tego wielkiego zamiaru powierza się środkom, jakiemi młodzież rozporządza w chwili poczęcia tego zamiaru, środkom pod wszelakim względem niedostatecznym, mogącym być co najwięcej moralnem przygotowaniem przedwstępem, prologiem. Co w tem jeszcze naganniejszego, to, że postawienie tego zamiaru, pochłaniając całą uwagę, z pomiędzy środków wykreśla najważniejszy — naukę. Twórcy najlepszego, według ich mniemania, sposobu wyzwolenia Polski, stworzywszy dorywczą organizację i napisawszy dla niej statut, uważają za zbyteczne wdawanie się z książką i opracowywanie nudnych zadań. Do czego to im! wszak oni rozwiązali zadanie najważniejsze!... Z tego wynika jedno z dwóch albo polityczny proces, mający tę tylko dobrą stronę, że służy jako dowód niewygasalności patrjotycznych polskich uczuć, albo rozczarowanie, zniechęcenie się najprzód do sposobu, następnie i do samej sprawy i w ostatecznem następstwie, wliczenie tej ostatniej do „błędów mło-

dości.“ W każdym razie niepowetowana ztąd szkoda dla sprawy. Mówię o tem z własnego doświadczenia. Należałem do dwóch szkolnych konspiracyj. Pierwsza dostarczyła Moskalom kontyngiens sołdatów. Ofiara została spełnioną — a kiedy myślą przechodzę dziś przywiązane do niej wspomnienia, widzę jasno jak na dłoni, że sposobami, około których skupiła się była gromadka nasza, dalibóg że Polska by nie stanęła. Druga rozwiązała się sama przez się. Moskale jej nie wytropili. Dowiadywałem się o ludzi, którzy do niej należeli, a na których w pewnym czasie, rachowałem jak na Zawiszów. Wcale nie wielu odpowiedziało na apelu, a to dla tego, że ten wykierował się na chodataja adwokata bardzo dobrze w opinji rządu położonego, ów na czynownika biorącego łapowe, inny na moskiewskiego pułkownika domagającego się we względzie polskiej sprawy pewnych rękojmji powodzenia, jeszcze inny na obywatela niechcącego mieć nic z zapalonemi głowami do czynienia. Wszyscy ci byli młodzieńcy gorący i zdolni. W szkole nie uczyli się, bo wyzwoleniem Polski byli zajętymi. Za szkołą — gdy się przekonali, iż to zajęcie do zamierzonego nie doprowadziło ani doprowadzić może celu, nazwali je głupstwem i w sile wieku, w dobie w której człowiek do najużyteczniejszych zdolnym jest czynności, znaleźli się bez nauki i bez uczni.

Owoż, owych to „błędów młodości“ wystrzegać się należy jak najmocniej, nie dla tego, że niebezpieczne (tchórze tylko przed niebezpieczeństwem się cofają), ale że istotnej nie przynoszą korzyści. Najpewniejszym według mnie ustrzeżenia się sposobem jest, nie „konspirować dla ojczyzny“, lecz „pracować, uczyć się dla ojczyzny“. Pracować i uczyć się w tem przekonaniu, że jak niegdyś Francji, do uratowania jej, potrzeba było *de l'audace, de l'audace et encore de l'audace*, tak dziś Polsce, do wyzwolenia, potrzeba wiedzy, wiedzy i jeszcze wiedzy. Na zuchwalstwie nam nie brak — daliśmy tego dowody: brak na wiedzy, któraby i zuchwalstwu i wszystkim naszym narodowym zaletom i przywarom nadać mogła najodpowiedniejszy celowi kierunek i zużytkować bogate materjały, jakich pełno w naszej ojczyźnie.

Wiedzy! jeszcze wiedzy! jak najwięcej wiedzy!...— oto nasze hasło.

(D. c. n.)

Korespondencje.

Paryż dnia 26 marca 1866.

(Urządzenie fakultetów we Francji. — Prawo postąpienia do uniwersytetu. — Naukowe stopnie. — Rozkład przedmiotów na wydziale prawa.)

W poprzedniej korespondencji (25 lutego) wyliczyliśmy główniejsze zakłady naukowe we Francji, wskazaliśmy podział uniwersytetu i jego rozrzucenie po rozmaitych miastach; przechodzimy teraz do przedstawienia niektórych wewnętrznych urządzeń fakultetów.

Wydziały lekarski i prawny są pod pewnemi względami w podobny sposób urządzone; na obu kurs nauk czteroletni, ażeby być przyjętym na który z tych wydziałów potrzeba uzyskać wprzódy dyplom bakałarza literatury lub nauk ścisłych, który to dyplom otrzymuje się po ukończeniu liceum i zdaniu odpowiedniego egzaminu, lub po wysłuchaniu dwuletniego kursu nauk w szkołach literackich albo matematycznych i po złożeniu następnie egzaminu.

Po ukończeniu nauk na wydziale lekarskim jest tylko jeden stopień doktora, o który się kandydaci ubiegać mogą; kto tego stopnia nie otrzymuje, nie jest lekarzem ale tylko *officier de santé* (felczer), ma on prawo leczenia, lecz w trudniejszych przypadkach obowiązany odwołać się do doktora i jest odpowiedzialnym, jeżeli tego nie uczyni; na równych z nim prawach pozostają ci, którzy albo nie kończąc fakultetu zdadzą egzamin na *officier de santé*, albo kończąc półlekarskie szkoły otrzymują ten stopień, a że do tych szkół może postąpić nietylko posiadający stopień bakałarza literatury lub nauk, lecz i niemający takowego, przeto *officier de santé* są trojakiego rodzaju, na jednych prawach jako półlekarze, na różnych w razie dobijania się o stopień doktorski — tym, którzy ukończyli fakultet, prawo zdawania egzaminu na stopień doktora służy w każdej chwili; posiadającym stopień bakałarza służy prawo kontynuowania kursów na fakultecie; ostatnim zaś tylko po otrzymaniu stopnia bakałarza to prawo przysługuje.

Na wydziale prawa są trojakiego rodzaju stopnie, w czasie dwuletniego kursu zdają się dwa egzamina na bakałarza praw i nakoniec w ciągu czwartego roku składają się egzamina na stopień doktora praw.

Wydziały literacki, matematyczny i nauk przyrodniczych tem się tylko różnią od poprzednich, że postępujący na nie mając już stopień bakałarza odpowiednich umiejętności, studjują tylko lat dwa na fakultecie i po pierwszym roku składają egzamin na licencjata, a w następnym doktoryzują się.

Z samej natury różni się wydział teologiczny; dla otrzymania stopnia bakałarza teologji potrzeba mieć jak na innych wydziałach bakalaureat literatury, oprócz tego odbyć trzyletni kurs w duchownem seminarjum i być rok na wydziale teologicznym, stopnie licencjata i doktora otrzymują się w tenże sam sposób jak i na innych wydziałach.

W czasie kiedy uczniowie są zapisani na liście zwyczajnych słuchaczy, obowiązani są do składania corocznie egzaminów i to tak urządzono, jak z powyższego przekonać się można, iż każdy koniecznie je składać musi, choć go nikt do tego nie nagli, gdyż opuszczenie jednego egzaminu wstrzymuje prawo zdawania następnego. Egzamina na uniwersytetach tutejszych nie są wybrykiem władzy, jak to bywa gdzieindziej, ale mają swoją rację, każdy egzamin dobrze złożony daje jakiś naukowy stopień, każdy naukowy stopień ma pewne do siebie przywiązane prawa, prawa stosowne do pożytku, jaki człowiek w pewnym stopniu oświecony może przynieść społeczeństwu.

Chcieliśmy podać rozkład nauk w bieżącym półroczu wykładanych lecz dla zbytniej suchości przedmiotu odkładamy tę rzecz na później, ograniczymy się dzisiaj na przedstawieniu listy nauk na wydziale prawnym, a to szczególniej i z tego względu, iż wydział ten najgorzej, zdaje się nam, urządzony. W nim jeszcze przechował się duch dawny i dawny porządek staroświecki, rozkład jest następujący. Słuchacze roku pierwszego mają dziennie jedną tylko godzinę, naprzemian kodex cywilny francuzki i prawo rzymskie, każdy przedmiot ma dwóch wykładających profesorów o jednej i tejsamej godzinie a to dla zbytniego natłoku uczniów. Na drugim roku nowych dwóch profesorów wykłada prawo rzymskie i także kodex cywilny, a oprócz tego prawo karne oraz ustawodawstwo kryminalne francuzkie i procedurę cywilną (na ten ostatni przedmiot jest tylko jeden profesor). Rok trzeci ma dalszy ciąg kodexu cywilnego, znowu inni profesorowie wykładają prawo administracyjne i prawo handlowe. Na roku czwartym kodex cywilny; prawo międzynarodowe; historję prawa rzymskiego i francuzkiego; prawo francuzkie feudalne i zwyczajowe; pandekta. Wreszcie ekonomja polityczna jako przedmiot fakultecki, bez oznaczenia, w którym roku mają tę naukę studjować. Widzimy ztąd, że oprócz prawa rzymskiego, które jest ściśle z francuzkiem związane, zaledwie tylko prawo międzynarodowe i ekonomja polityczna wchodzą w zakres nauk studjujących prawo, zresztą na prawie francuzkiem wszystko się kończy. Bliższe uwagi nad tem odkładamy na przyszłość; tutaj zwrócimy jeszcze uwagę na niewolnicze przywiązywanie słuchaczy do pewnych przedmiotów w każdym roku, nie dając możności czynienia dobrowolnego doboru. Jest zresztą dla formy tylko zachowywany zwyczaj, iż słuchacz każdego roku obowiązany zapisać się na jeden przedmiot wydziału literackiego i na jeden wydziału nauk ścisłych, ale to tylko dla formy, a cóż mówić o tych fakultetach prawnych, gdzie obok nich nie wszystkie inne istnieją.

Wykłady na uniwersytecie są prawdziwie znakomite, profesorowie rozumieją swoje zadanie i jemu odpowiadają zupełnie. Wykład jasny, dobitny, profesor mówi powoli, ważniejsze rzeczy trzy razy czasem powtarza, z giestykulacją aż do komiczności posuniętą, z głosem zastósowanym do przedmiotu, o którym mowa, do każdego wyrazu nieledwie profesor wszystkich używa sposobów, ażeby uwaga słuchaczy ciągle była natężoną, a z najsuchszego przedmiotu wymową swoją czyni go najprzyjemniejszym, i trudno przypuścić, aby słuchający odeszedł, nie zrozumiawszy rzeczy lub o niej nie wiedząc. Nie ma tu takich profesorów, jacy częstokroć a nawet prawie zawsze spotykają się na uniwersytetach moskiewskich, gdzie profesor (nawet znakomitości naukowe) przemruczy pod nosem godzinę, wcale się o to nie troszcząc, czy go kto słucha, lub nie, czy rozumie, czy korzystając z ciszy drzemie przewybornie. Być może, iż zanadto po szkolarsku postępują profesorowie tutejsi, coby u nas nie uchodziło, my do osoby profesora przywiązujemy ogromną powagę i szacunek, jaka ze względu na jego stanowisko słusznie się mu należy, ta powaga nie dozwala u nas profesorowi odrywać się od przedmiotu wykładanego, najmniejsze w tym względzie zboczenie uważane jest jako zbłaźnienie się i profesor na zawsze traci szacunek, pochodzi to jak sądzimy z tej powagi, jaką się lubi otaczać sama młodzież, ma ona cześć dla tego wszystkiego, co ma związek z nauką, cześć dla swojego nawet stanowiska, uczeń uniwer-

sytetu, jako uczeń jest otoczony pewną aureolą, wierzy w siebie i tę wiarę naokoło przelewa, i jest powszechnie uważany za coś wyjątkowego za coś na szczególny szacunek publiczności zasługującego. Tu jest inaczej, lekki charakter Francuzów, wrodzona wesołość i trzpiotowatość nie dozwala im z natężoną uwagą przesiadywać półtory godziny, chcą zabawić się, ktoś krzyknie a każde najmniejsze poruszenie wywołuje śmiech ogólny, krzyk, oklaski; profesorowi częstokroć za każdym wyrazem dają oklaski, tak, iż rzeczywiście nie dają mu możności mówienia, a zwłaszcza w ten sposób postępują z najznakomitszemi. Przy takiem usposobieniu uczniów nie wypada się dziwić, jeżeli profesorowie zmuszeni są przywoływać do porządku, czynić uwagi itd. Większa część profesorów paryzkich jest autorami znakomitych dzieł naukowych.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Zjawił się wiersz pod tyt. „Na dzisiaj. Rapsod tragi-komiczny przez ***. Lipsk 1865." Wiersz ten napisany jest z pewnym talentem, szkoda tylko, że autor pożyczając formę od Beniowskiego, pożyczył także z niego wiele rzeczy niekoniecznie potrzebnych i dobrych. Nie bierzemy nigdy za złe tego, jeżeli poeta przejąwszy się duchem którego z mistrzów poezji, pożycza od niego formę i wprost za wzór go sobie bierze; ale żądać możemy, ażeby mimo to była w takim utworze pewna oryginalność i świeżość. Takie naśladownictwo nie może być wzięte za złe — wszak i Beniowski wygląda jak syn bajronowskiego Don Juana, a jest przecie arcydziełem. Ale autor wierszu, o którym mowa, zbyt jest niewolniczy. Wiersz to napisany widocznie tylko na to, że autor chciał narodowi kilka gorżkich prawd rzucić, chciał okazać wzgardę dla powszechnego dziś u nas uspienia. Ale pocóż mając taki cel przed oczyma, zaraz w pierwszej zwrotce obiecuje czytelnikowi dać powieść, poczem na ósmej znowu stronnicy klnie się na duszę, „że dzisiaj zacząć i dokończyć muszę" — dalej na piętnastej stronnicy powściągając „wyskoki młodzieńczej (to prawda!) muzy" wraca niby do powieści, której jednak czytelnik mimo ponownego zaręczenia autora (str. 26) do samego końca doczekać się nie może, aż autor na ostatniej stronie powiada na zakończenie, że

... choć w sercu na dnie
Dużo skarg jeszcze tam ciąży ołowiem,
Smutno mi bardzo — i nic już nie powiem.

A mówiąc mimochodem, zakończenie to wypadło bardzo niefortunnie. Oczewiście to niby obiecywanie powieści jest reminiscencją Beniowskiego; ale w Beniowskim to uchodzi, gdzie znajdujemy prawdziwie gienialne opisowe i powieściowe ustępy, ale nie uchodzi w wierszu, którego całe założenie jest liryczne. Dalej pytamy, czy uchodzi n. p. taki wiersz:

... śledzie i sztokfisze,
Których nie cierpię — dbrrum jakem katolik... i t. d.

To nieszczęśliwe dbrrum jest tak rażące, jak powtarzający się kilka razy śmiech: Cha! cha! cha! — gdy n. p. powiada:

Cha! cha! cha! chociaż i żal serce ściska,
I straszna gorycz rozewrzała w duszy,
Cha! cha! cha! prędzej was urągowiska
Chrzęst — niźli słowo płomienne poruszy...
Więc i na chwilę serca nie pokażę,
Śmiejącą twarzą w śmiejące wam twarze
Patrzeć wciąż będę... i t. d.

Wybryki takie tem bardziej za złe musimy wziąć autorowi, że w wielu ustępach prawdziwy przebija się talent, a na przykład przytaczamy jeden ustęp:

O wy rozsądni i umiarkowani —
O wy porządku społecznego stróże,
Świątyń Janusa poważni kapłani:
Dziś już przebrzmiały huraganne burze,
Podwoje waszych świątnic się otwarły —
I już was widzę — oglądam... Ha! karły

Wyście tytańskiej nieufni potędze,
Nie wzrośli w strasznych świata wielkoludów,
Czemuście w starej, sybillijskiej księdze
Wróżby szukali i promiennych cudów,
Zamiast w bój popchnąć ostatnie rezezwy?...
Cieszcie się teraz, że bój doznał przerwy.

Cieszcie się teraz — bo już wichrzyciele
Co karku w jarzmie nosić nie umieli,
Śpią — w siół i grodów zgliszczach i popiele;
A tam na polu jakiś stos się bieli —
To męczenników nagie świecą kości;
Cieszcie się — będzie ztąd siew dla przyszłości....

W końcu musimy autora pocieszyć, iż nie on jeden tylko kocha ojczyznę i nie on jeden cierpi z nią razem, mówiąc bowiem:

„Po jednej stronie wy wszyscy — weseli,
Szczęśliwi może — zapomnienia szałem,
Po drugiej stoję sam... i t. d.

monopolizuje dla siebie niejako uczucie miłości ojczyzny; a spodziewamy się, że jest jeszcze wielu w Polsce takich, którzy zaprotestują przeciw temu monopolowi nowego rodzaju.

— Nakładem księgarni Karola Wilda we Lwowie wyszedł pierwszy zeszyt dzieła: „Historja literatury polskiej" ofiarowana młodym uczącym się Polkom przez Felicję Wasilewską. Zeszyt ten obejmuje dzieje literatury polskiej od początków aż do r. 1521 w którym rozpoczęto drukować w Krakowie książki polskie. Całe dzieło wyjdzie w 6 do 8 zeszytach około dziesięcioarkuszowych, i do końca przyszłego roku będzie się znajdować w ręku czytelników.

— Druk ostatniego zeszytu Dziejów Polski p. J. Szujskiego postępuje szybko, i będzie ukończony w lecie h. r. Ostatni tom dla tego głównie nieco się spóźnił, że ostatnie czasy dziejów naszych najmniej dotąd są opracowane, autor przeto w opisaniu tego najważniejszego okresu na największe napotykał trudności.

— Najnowszy zeszyt (drugi) „Przeglądu powszechnego" wychodzącego w Dreźnie, zawiera następujące artykuły: J. Zacharjasiewicza: O funduszu narodowym; W. Sabowskiego: Photos Tsavellas; R. Zmorskiego: Merima, tragedja; J. I. Kraszewskiego: Kronika Niemiecka; Emil Br.. O oporze prawnym; Korespondencje: Z przejazdu przez Niemcy; Rozmaitości: Biografja Hoëne Wrońskiego; Bibliografja.

— Dzieło Drapera, zawierające „Historję umysłowego rozwoju Europy", wyszło w niemieckim przekładzie. Autor oparł pracę swoją na zasadzie, że narody podobnie jak indywidua przechodzą wszystkie perjody życia: dzieciństwo, wiek młodzieńczy, męzki i starości, a zatem i umierać muszą. Z oburzeniem występuje autor przeciwko wierzącym w nieśmiertelność narodów.

— Spodziewane jest wkrótce wydanie „Pamiętników kanclerza Nesselrodego", obejmujących czas od r. 1780 do 1815.

— W Lipsku poczęło zeszytami wychodzić dzieło p. t. „Die eigene Kraft" Jest to dzieło angielskie Samuela Smiles'a „Self-help" obrobione w języku niemieckim przez A. Colenfelda. Celem tego dzieła jest wykazać, jak pojedyńczy ludzie i całe narody tylko wtedy mogą dojść do znaczenia i potęgi, tylko wtedy mogą coś dla innych i dla siebie pożytecznego zdziałać, jeżeli nie oglądując się na nic i nikogo, na żadną zewnętrzną nie licząc pomoc na własną opuszczają się siłę i pracują. Wykład jest bardzo popularny, zastosowany do pojęcia nawet i zupełnie niewykształconych ludzi — a przytem bardzo powabnie urozmaicony przykładami z życia wielu sławnych mężów, przedewszystkiem zaś ludzi, którzy się odznaczyli dobroczynnemi w przemyśle wynalazkami. Polecamy to dzieło bardzo, a nader byłoby korzystnem gdyby się ktoś zajął polskim jego przykładem. Dla nas prace takie bowiem tem są ważniejsze, iż tak w sprawach politycznych, jak też i w prywatnem życiu zamało u nas zaufania w własne siły i własną pracę, a zawiele oglądania się na innych, lub na szczęście.

Od redakcji.

Z niniejszym numerem rozpoczyna się nowy kwartał „Tygodnika naukowego i literackiego".

Mając nadal zapewniony udział sz. Autorów których prace zamieściliśmy w upłynionym kwartale, jakoto: pp. **J. I. Kraszewskiego, Dr. Józefa Majera, prof. Seweryna Płachetki, prof. Bronisława Trzaskowskiego, Jana Zacharjasiewicza,** będziemy zamieszczać jeszcze prace pp. **Karola Maszkowskiego, Zygmunta Miłkowskiego, Wincentego Pola, Dr. Zygmunta Sawczyńskiego, Dr. Feliksa Strzeleckiego, Pauliny Wilkońskiej** i innych.

Rubrykę korespondencji rozszerzyła redakcja przez zawiązanie nowych stosunków z Polakami bawiącymi za granicą. Zresztą będzie „Tygodnik" nadal wychodził pod temi samemi warunkami, jak dotychczas.

Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.